

PROLOG

GÓRY JERALL

S tarszawy Khajiit o nieco przysiwiałym futrze za uszami, posiadający wyjątkowo długi – jak na kotoludzi – ogon, zapewniał, a wręcz zarzekał się na wszystkie bóstwa, że jego towary pochodzą z legalnych źródeł. Konieczność przewiezienia ich przez granicę do Skyrim, poza zasięgiem wzroku żołnierzy i urzędników, a więc z pominięciem konwencjonalnych dróg transportu, tłumaczył wojną domową, toczącą się w ostatnich miesiącach w prowincji, o której mógł powiedzieć tylko tyle, że panowały tam nieznośnie niskie temperatury, a biały śnieg przykrywający krainę w niczym nie przypominał rozgrzanych piasków jego rodzinnego Elsweyr. W oberży, a w zasadzie w podłej spelunie o nieciekawej reputacji, ze względu na podejrzane towarzystwo zbierające się tam każdego dnia przy szklanych kiepskiej jakości miodu, postanowił znaleźć przewodnika i zarazem eskortę planowanej wyprawy na północ.

– Wojny mają to do siebie – cierpliwie wyjaśniał wysokim, lecz pewnym siebie głosem – że przyciągają dwa typy ludzi: bandytów i handlarzy. Jedni i drudzy chcą zarobić w tych trudnych czasach. Różni ich tylko metoda osiągnięcia tego celu – tłumaczył, spoglądając rozmówcy głęboko w oczy i pociągając od czasu do czasu z kufła niezidentyfikowaną, jasnoróżową substancję, wydzielającą lekko słodkawą woń. – Ci pierwsi, zwykłe zbiry, żerują na nieszczęściu innych. Napadają, gwałcą i rabują biednych Nordów, rozdartych pomiędzy przywiązaniem do ojczystej ziemi a lojalnością wobec cesarza – kontynuował wywód.

Prezentował pewną wiedzę w zakresie aktualnych tematów politycznych, czego przypuszczalnie pozazdrościłby mu niejeden wykształcony mieszkaniec Cyrodiil. Bardziej rozgarnięty człowiek zorientowałby się jednak, że wzbudzający zaufanie Khajiit po prostu wcześniej wyuczył się na pamięć kilku inteligentnych zdań, by robić dobre wrażenie na swoim interlokutorze.

– My zaliczamy się do tej drugiej grupy. Do handlarzy, którzy, owszem, chcą zarobić, jednak z korzyścią dla obydwu stron. Nordowie potrzebują zapasów bretońskiego sera do swoich tawern?

Khajiit może im go dać. Nordom brakuje rudy ebonu do wykuwania najbardziej wyszukanych zbroi? Khajiit może im ją dostarczyć – ciągnął swoje przemyślenia.

Wzbogacał wypowiedź zamaszystymi gestami, co świadczyło o tym, że rzeczywiście znał się na kupieckim rzemiośle. Gdyby tylko miał taką okazję, bez większych trudności sprzedałby zapewne zwój z zakłębieniem oddychania pod wodą Argonianom – znanym z tego, że od małej jaszczurki czują się tak samo dobrze na powierzchni, jak i na dnie głębokiego jeziora.

– W gruncie rzeczy można uznać, że im pomagamy. Inaczej bowiem nie mieliby dóbr zapewnianych przez Khajiita. A to, że cena jest trochę wyższa niż w czasach pokoju... – Na chwilę przerwał, rozkładając bezradnie łapy zakończone pazurami ostrymi jak topór Ysgramora. – Takie są odwieczne prawa wojny, ale paradoksalnie właśnie dzięki nim możemy nieco zarobić, dając jednocześnie mieszkańcom Skyrim to, czego pragną. Poza pokojem, oczywiście – dodał.

Przechylił kufel, by skosztować ostatniego łyku, jaki pozostał na dnie naczynia; taniego, choć zabawnie zdobionego w wizerunki figlarnych kotów. Starszy Khajiit obliznął się, wytarł rękawem resztki piany z kącików ust, założył jedną nogę na drugą i zwracając się w kierunku rozmówcy siedzącego na przeciwległym końcu stołu, zapytał:

– Czy ork zechce nam towarzyszyć, broniąc ładunku przed rabusiami, czy też nie?

Na tak postawione pytanie odpowiedź mogła brzmieć tylko twierdząco, zwłaszcza po całej jego przemowie nie zwieńczonej burzą oklasków tylko dlatego, że pozostali kompani przebywającego w tawernie dziarskiego kota byli już pijani w sztok. Znający najsubtelniejsze arkaana sztuki retoryki Khajiit, które poznał niechybnie podczas wielu lat przemierzania Tamriel wzdłuż i wszerz, namawiając przypadkowo spotkane osoby do wzięcia udziału w jego przygodach, dodał jeszcze, że zysk z handlu będzie większy, jeśli pominą punkty kontroli na granicy. Uzasadniał to w ten sposób, kręcąc ogonem na wszystkie strony, że cła znacząco wzrosły ostatnimi czasy, ponieważ Cesarstwo potrzebuje dużych środków finansowych, by stłumić wewnętrzną rebelię. Umocniono również posterunki na przejściach granicznych, pilnując, aby zamieszki nie rozlały się na okoliczne prowincje. Wypadki te sprawiały, że karawany kupieckie napotykały problemy z przeprawieniem się z Cyrodiil do Skyrim, jeśli handlarze nie dysponowali znaczną ilością złota, by przekonać żołnierzy i skorumpowanych oficjeli, że nie popierają buntu i nie zasilą oddziałów rebeliantów. Proceder ten służył oczywiście temu, by kolejne grupy osób, poza bandytami i kupcami wspomnianymi przez Khajiita, mogły zarobić dzięki rozpętanej wojnie. Łapówki podnosiły i tak wysokie koszty wypraw, co – po raz kolejny – świadczyło o błyskotliwości

planu kota i uzasadniało podejmowane ryzyko, które starał się zminimalizować, zbywając każdą wątpliwość orka uśmiechem i barwnymi opowieściami o poprzednich eskapadach, naturalnie zakończonych pełnym sukcesem.

Khajiit już godzinę wcześniej, by przełamać lody, zapłacił za trunek nowo poznanego towarzysza, w wyniku czego, wraz z końcem dyskusji na temat zalet drobnego i mało znaczącego przedsięwzięcia, ork czuł, że jest lekko podchmielony, ale i tak sądził, że znajduje się w zdecydowanie lepszym stanie niż reszta członków karawany. Zabieg ten, rzecz jasna, stanowił celowe działanie przebiegłego kota, który w ten sposób niejako urabiał kompana, gdyż w innym wypadku jego ofiara szybciej zorientowałaby się, że słowo „eskapada” zastępuje w słowniku Khajiita „przemyt”, natomiast „łatwa praca” oznacza ni mniej, ni więcej, tylko to, że działalność może zakończyć się przedwczesną śmiercią. Wtedy jeszcze nie wiedział, że za sprawą wygadanego kocura rozpocznie trwającą długie miesiące najbardziej niezwykłą przygodę, jaką doświadczył w życiu.

Tak czy inaczej, nie będąc ani pierwszą, ani ostatnią oszukaną osobą, ork przystał bez mrugnięcia okiem na wszystko, co tamten zaproponował, i następnego dnia, taszcząc na plecach ciężkie toboły, wspinał się na wysokie wzniesienie wraz z czterema Khajiitami i jednym dość ubogim odzianym Bretonem o śniadej twarzy – najprawdopodobniej stałym bywalcem tawerny, w której poznał przybyszów z Elsweyr. Domyślił się, że również i on został przekonany przez elokwentnego przywódcę konwoju, by pomógł grupie, obecnie wolno posuwającej się naprzód, w dźwiganiu podejrzanego pakunku, porzucanego na nierównościach bezdroży gdzieś w górach Jerall, z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

Wynajęcie zaprzęgu konnego w Brumie – jak skonstatował, patrząc z przerażeniem na majaczące w oddali ponure szczyty przykryte połaciami śniegu, wyzierające czasem zza wierzchołków drzew – nie miałyby najmniejszego sensu w tak nierównym terenie. Żadne zwierzę pociągowe nie byłoby w stanie pokonać przemierzanego przez nich nieprzyjaznego miejsca, nawet gdyby korzystali z usług olbrzymiego łoża przemieszczającego się pomiędzy głównymi miastami Morrowind. Nigdy nie widział go na własne oczy, aczkolwiek słyszał bajania poznanych kiedyś elfów na temat owego dziwnego środka transportu. Wydawało się, jeśli wierzyć ich słowom, że łożo było owadem posiadającym długie odnóża i wysokim na kilkanaście sążni, zaś przebiegłe elfy udowodniły go w taki sposób, że wbiły w jego układ nerwowy wajchy, przełączniki i inne przyrządy, dzięki czemu stało się możliwe, by kierować nim tak sprawnie jak krasnoludową maszyną, choć nadal pozostawał on żywą istotą. Wątpliwe, aby ktokolwiek w grupie, lawirującej właśnie między omszałymi odłamkami skalnymi, które odłupały się i spadły w dół urwiska,

zmuszając wędrowców do ich obejścia, kiedykolwiek widział cuda podobne do łązików, jednak ciągle przychodziło mu na myśl, że nawet największy z nich nie podołałby przeprowie do Skyrim, gdzie znajdował się cel ich podróży.

Czasem, gdy zatrzymywali się na chwilę, ponieważ jakaś przeszkoda uniemożliwiała przejście, ork starał się umilić sobie czas, podejmując konwersację z Bretonem. Ten drugi zgodził się z nim, mówiąc pół żartem, pół serio, że koteludzie z Elsweyr mogliby nie tylko namówić dowolnego Argonianina na zakup zaklęcia umożliwiającego oddychanie pod wodą, lecz także z łatwością wcisnęliby najlepszemu alchemikowi Tamriel najbardziej pospolite zioła, przedstawiając je jako rośliny zapewniające nieśmiertelność, kontakt z bóstwami, a na dokładkę pielęgnujące same siebie, aby aptekarz nie trudił się podlewaniem kwiatów. Ork i Breton nie byli pewni, czy Khajiitowie ich słyszą, jednak po trzygodzinnym marszu przez nieprzebyte rubieże nie miało to dla nich większego znaczenia. Z coraz bardziej ociążałymi nogami, z trudem łapiąc oddech, nieśli na plecach kufry, skrzynie oraz wypchane po brzegi wypłowiałe worki, odczuwając narastający chłód, w miarę jak posuwali się naprzód.

Nie trzeba było długo czekać, aż ktoś zaprotestuje przeciwko dalszej mordędze i zażąda przerwy w marszu. Jako pierwsza poddała się Khajiitka o spiczastych uszach przebitych licznymi kolczykami. Jej cera zdążyła przybrać kolor skóry śnieżnego niedźwiedzia od coraz dotkliwszego mrozu.

– Uff... Ma'dranie, zatrzymajmy się. Ra'zhinda nie może iść dalej. Ra'zhinda odczuwa skutki wypicia wczorajszego miodu – wydyszała, łapiąc spazmatycznie powietrze.

– Ra'zhindo, musimy posuwać się naprzód, żeby zdążyć przed zmierzchem. Noce w górach są wyjątkowo zimne – odrzekł Khajiit, którego ork i Breton spotkali w gospodzie.

Jego odpowiedź zaskoczyła ich, ponieważ przypuszczali, że nader chuderlawy kot będzie z nich wszystkich najmocniej wyczerpany dotychczasową wędrówką. Bez wątpienia jego intelekt przewyższał możliwości umysłowe niezliczonych obywateli Cesarstwa, uważających się za bardziej cywilizowanych od istot pochodzących z Elsweyr, jednak zaawansowany wiek oraz skromny wygląd Ma'drana stwarzały pozory, że wydolność jego wątłego organizmu nie pozwoli mu na kontynuowanie wyprawy. W ogóle był to pierwszy raz, gdy usłyszeli jego imię. Khajiit zadbał o to, aby się nie przedstawić, zachowując anonimowość i roztaczając wokół siebie aurę tajemniczości, co nie było niczym niezwykłym wśród gości tawerny, w której raz po raz widywały się typy spod ciemnej gwiazdy, szmuglerzy, członkowie Gildii Złodziei i inne szumowiny. Najwyraźniej miał coś do ukrycia, a sądząc po wadze niesionego towaru i nietypowych odgłosach wydawanych przez ładunek, znajdowało się to na plecach orka.

Zaczął on uważniej przyglądać się przywódcy grupy. W przytłumionym świetle słońca, schowanego za kłębiastymi chmurami, jego futro wyglądało inaczej niż dzień wcześniej. Wnętrze obozu, wypełnionej półmrokiem przez zasłonięte okna, które i tak nie pamiętały czasów, gdy ostatni raz je myto, skąpanej w migoczących pobłyskach świec rozstawionych na niechlujnych, drewnianych stołach, utrudniało przyjrzenie się każdej osobie znajdującej się dalej niż na wyciągnięcie ręki. Teraz, na tle jednolicie szarej powierzchni uformowanej przez głązy, gdzie na próżno było szukać bujnej roślinności, a jedynie gdzieś z ziemi wyrastało pomniejsze iglaste drzewo, z trudem znoszące wszechobecne zimno, sierść Khajiita odznaczała się naturalną i zdrową barwą, w niczym nie przypominającą popielatego koloru włosów starca. Ork, zdając sobie sprawę z uprzednio poczynionego błędu w percepcji, gdyż brał go dotąd za nestora przynajmniej dwudziestoosobowej rodziny kotoludzi, siedzącego wieczorami przed kominkiem na bujanym fotelu, pomyślał nawet, że kot może być młodzieńcem. Gadatliwym, kutym na cztery nogi młokosem, którego aparycja steranego życiem poczciwego staruszka zjednywała mu licznych popleczników – gotowych pójść za nim od Elsweyr na południu do skutych lodem krańców Skyrim na północy. Ponownie dobitnie dotarło do niego, że dał się zwieść urokowi Ma'drana, jednak patrząc na biednego Bretona, starającego się właśnie wspólnie z Ra'zhindą nakłonić Khajiita do postoju i rozbicia obozu, uznał, że nie on jeden pozwolił mu wodzić się za nos. Myśl ta dodawała mu pewnej otuchy.

Ostatecznie Ma'dran ustąpił i wkrótce za wyjątkowo dużą skałą rozstawiono trzy namioty tak, aby głąz zasłaniał obozowisko przed wzmagającym się wiatrem. Pośrodku z suchych kawałków drewna rozpalono ognisko, nad którym w garnku Ra'zhinda gotowała zupę, z niecierpliwością smakując ją co jakiś czas. Udawała w ten sposób, że sprawdza, czy danie jest odpowiednio przyprawione, jednak wszyscy wiedzieli, że po prostu nie może doczekać się posiłku. Ork z przyjemnością zrzucił na ziemię niesiony wcześniej ciężki wór, a teraz usiadł obok paleniska i ogrzewał ręce.

– Breton służący Khajiitom. – Zwrócił się w stronę kolegi zachwyconego zapachem unoszącym się z kociołka. – To chyba jakieś pomieszanie z poplątaniem.

– Nie interesuje mnie, czy pracuję dla Khajiitów, Argonian, orków takich jak ty bądź dla władcy Otchłani – odparł, przyciągając uwagę Ra'zhindy, mieszającej w garnku jednostajnym ruchem. – Jeśli nadarza się okazja do zarobienia złota, nie wybrzydzą jak reszta Bretonów, dla których albo jest za zimno, albo niebezpiecznie, albo zapłata za niska, albo czort jeden wie co...

– Breton nie mówi tyle o mieszkańcach Otchłani. To przynosi pecha – wtrąciła się Khajiitka, jednak ten zbył ją machnięciem ręki.

– A czym jeszcze się zajmowałeś? Nie licząc straszenia innych demonami – zapytał ork.

– Zanim trafiłem do Cyrodiil? To zależy – odpowiedział.

Przerwał po chwili, gdy do obozowiska zabłąkał się jakiś podmuch zimnego powietrza. Postawił kołnierz, wtulił głowę w ramiona i z kwaśną miną starał się kontynuować, usiłując przekrzyczeć świszczący w uszach wiatr:

– ...zależy od dnia tygodnia. W każdy turdas pochłaniało mnie przeważnie bałamucenie mężatek, natomiast panien w pozostałe dni. No, ale to działo się jeszcze w Wysokiej Skale. Po pewnym incydencie z uroczą damą, której rodzina okazała się niezwykle wpływowa, zwłaszcza na łotrów do wynajęcia, zmuszony byłem wynieść się do Hammerfell. Tam zabawiłem trochę dłużej, zaciągając się jako majtek do załogi pływającej wokół wyspy Stros M'Kai na Morzu Abecejskim. Wesoła grupa żeglarzy dała się poznać jako zbieranina piratów napadających na wszystko, co pływa lub porusza się na dwóch kończynach w tamtych okolicach. Przypadała mi nieszczerólnie interesująca rola posłańca, co częściowo można tłumaczyć tym, że byłem żółtodziobem, a częściowo tym, że jako jedyny z bandy wiecznie podpitych korsarzy potrafiłem w ostatniej chwili dać susła, uciec od nadlatującej kuli armatniej czy rzuconego przez maga ognistego pocisku, a następnie wrócić w jednym kawałku i zameldować kapitanowi o ruchach i sile wroga, słabych punktach obrony itd. A w czasie abordaży... Ech... – westchnął.

– Dlaczego więc znalazłeś się w Cyrodiil?

– I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Nie przeszkadzało mi szczególnie to, że nadstawiałem karku i każdy dzień mógł być moim ostatnim. Miałem więcej złota, niż mogłem wydać i więcej alkoholu, niż mogłem wypić. Nie, to chciwość kapitana przywiodła mnie na to zmrożone pustkowie – kontynuował opowieść, nawiązując do faktu, że zimny, północny wicher znów przybrał na sile. – Nasz... dowódca – wycedził przez zęby – któregoś pięknego dnia ostatniego siewu wydał rozkaz ataku na niepozornie wyglądający okręt imperialny. Z załogą rozprawiliśmy się raz-dwa, a potem zeszliliśmy pod pokład... i literalnie osłupieliliśmy.

– Co tam było? – dopytywała Ra'zhinda.

Przysłuchując się uważnie historii Bretona, wydawało się, że całkiem zapomniała o odczuwanym głodzie i przygotowywanym posiłku.

– Zaciekawilem was, co?

Ucieszony Breton przysunął się bliżej płomieni stanowiących jedyne źródło ciepła w okolicy. Ukojony przyjemnym żarem, bijącym od paleniska, wznowił gawędę:

– Naszym otwartym szeroko oczom ukazał się iście bajeczny widok. Ładownia zawierała trochę beczek z mniej lub bardziej pospolitymi ingrediencjami: solą, czosnkiem, lawendą, mroźną mirriam, łuskami zębaczy i innymi składnikami bardziej interesującymi alchemika niż bandę piratów, która przed chwilą pozbawiła życia... Pięciu albo sześciu uzbrojonych w stalowe miecze żołnierzy.

– Nie wyglądasz na zabijakę – zauważył ork, podpierając głowę na ręce.

– A ona nie wygląda na kucharkę – odrzekł Breton, wskazując na Khajiitkę, która szybko zrozumiała aluzję i ponownie zaczęła mieszać bulgoczący od dłuższego czasu wywar. – Cóż jednak robić? Jesteśmy na nią skazani, jeśli chcemy najeść się do syta i przetrwać w tych trudnych warunkach. Podobnie skazany na członków załogi oraz ich działania byłem ja, jeśli chciałem zarobić i ujsć z życiem... Nie przeczę, że sam wielokrotnie upuściłem komuś krwi, ale sam wiesz, jak to jest. Kiedy wpadłeś między skrzekacze, musisz drzeć dzioby jak i one.

– No dobrze, ale zakładam, że przyprawy to nie wszystko, co znaleźliście na statku.

– Do tego też zmierzałem, mój zielony, orkowaty kamracie. Pozostałą część ładowni zajmowały skrzynie wypełnione rubinami, granatami, szafirami i najwspanialszą biżuterią, jaką mógłbyś sobie wyobrazić.

– Breton bajdurzy! – zawołał Ma'dran, który znalazł się w pobliżu nie wiedzieć skąd. – Gdyby było tak, jak człekokształtny mówi, nie siedziałby teraz przemarznięty w łachmanach pośrodku niczego.

– Myślisz, że to moja wina, sierściuchu?! – krzyknął Breton, robiąc się czerwony na twarzy od poirytowania. – Mówiłem, że dotarłem tutaj przez tę szelmę, kapitana! Tfu, psiakrew, niech go Azura przeklnie! – uniósł się gniewem i splunął na ziemię.

Ork pomyślał, że towarzyszowi na tyle podniosło się ciśnienie, że z pewnością nie zwracał już uwagi na chłód, co było dobrą stroną jego obecnego stanu. Uznał jednak, że Breton swoją złość mógłby skierować na Bogu ducha winnych Khajiitów, co przedwcześnie zakończyłoby wyprawę, dlatego postanowił się wtrącić i załagodzić nerwową sytuację:

– Uspokój się. Wszyscy pochodzimy z różnych stron Tamriel i słyszeliśmy niejedną dykteryjkę opowiadaną przez przygodnych obieżyświatów, którzy dla kilku septimów pletli androny, i stąd ta ostrożność. Nie możemy doczekać się zakończenia. Co stało się ze skarbem? Mów, proszę, dalej – wytłumaczył tak spokojnie, jak tylko mógł.

Nie od razu przyniosło to oczekiwany skutek. Breton nabrał głęboko powietrza w płuca, założył ręce i nadal nieco posępny począł relacjonować zakończenie przygody:

– Okazało się, że skarb był w rzeczywistości ładunkiem przewożonym przez Cesarstwo. Ataki piratów na tamtym akwenie nasilały się, więc ktoś wpadł na pomysł, żeby cenny towar umieścić na pokładzie malutkiego statku, sądząc, że zostanie wzięty za miejscową jednostkę. Widocznie nie znał pazernego kapitana Balfiksa, dla którego nie istniały zbyt małe łupy i nieopłacalne napady – rzekł, a ork zauważył, że na wspomnienie o starym dowódcy Breton zaciska nieświadomie pięści. – Tej nocy hulankom nie było końca. Świętowaliśmy do upadłego i wydawało nam się wtedy, że chwyciliśmy za nogi samego Akatosha. Po spieniężeniu i podziale zdobyczy każdemu z nas wystarczyłoby środków na zbudowanie okazałego domu oraz wygodne życie do emerytury, nie wspominając o przednich trunkach i pięknych twarzyczkach... A pewnie jeszcze trochę by zostało na przyjemności, rozumiecie?

Na myśl o tym na chwilę przerwał. Patrząc w tańczące przed nim języki ognia, resztę słów wypowiedział jakby nieobecny, nie zwracając uwagi na audytorium złożone z orka i czterech Khajitów. Nikt nie śmiał się wtrącić, a on, ze wzrokiem utkwionym w palenisku, rzekł:

– O poranku zbudził nas mroczny elf, zwykle siedzący w bocianim gnieździe na szczycie grotmasztu. Kapitan przepadł bez śladu, a razem z nim cały łup. Odpłynął na zdobytym żaglowcu w siną dal, natomiast nasza fregata stała w płomieniach, zapewne podpalona przez wspomnianego dowódcę.

– Świnia! – powiedziała Ra'zhinda.

– Udało wam się zgasić pożar? – zapytał ork.

– Nie było już czego ratować – wymamrotał Breton. – Kilku marynarzy zatrało się dymem, zanim zdążyli się zbudzić, a później pewnie strawiła ich pożoga. Reszta, w tym i ja, dała nura do wody. Stosunkowo niedaleko znajdowała się wyspa, jednakże uwzględniając stan, w którym się znajdowaliśmy, nie każdy dał radę dopłynąć. Starałem się im pomóc, ciągnąc niektórych za sobą, ale gdy uprzytomniłem sobie, że bardziej kieruję się na dno niż do brzegu, mogłem tylko zostawić ich na łasce morza... – powiedział ścisłym, niemal niesłyszalnym głosem.

Przysłuchujący się opowieści również posmutnieli, ale nikt nie odważył się skomentować wspomnień Bretona. Ani trzaskający mróz, ani puste żołądki nie grały już żadnej roli. Siedzieli stłoczeni pośrodku prowizorycznie postawionego obozu gdzieś w górach Jerall w miejscu nie naniesionym na żadną mapę. Być może nawet nigdy nie powstała tam niczyja noga. Spoczywali, czekając na finał historii,

choć domyślali się, że nie będzie ona miała szczęśliwego zakończenia. Ciszę przerwał wreszcie Breton:

– Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Ci, którzy dostali się na brzeg, wkrótce się rozdzielili i każdy poszedł w swoją stronę. Przedostawszy się na stały ląd, znalazłem się w Cyrodiil, nie dalej niż pół dnia drogi od Anvil. Moja piracka przeszłość sprawia, że mam więcej wrogów niż przyjaciół, a wizerunek mojej gęby, tak jak wszystkich z załogi, wisi na każdym większym słupie nad Morzem Abecejskim. Przybyłem więc na północ, daleko od wody. Tak oto zarabiam, jak mogę, służąc Khajiitom – zakończył Breton.

Wiatr w międzyczasie zelżał, zaś słońce wyjrzało zza smętnych chmur, jakby bogowie próbowali dodać otuchy obozowiczom. Jeszcze chwilę trwało, nim ktokolwiek zabrał głos. Niechętnie odezwał się ork, starając się mówić powoli i cicho, by nie urazić kompana:

– Chciałbym kiedyś dopaść tego kapitana. Pokazałbym mu, co znaczy orkowy szal bojowy.

– To kawał wyjątkowego skurczybyka, nie ma wątpliwości – odpowiedział ogorzały Breton.

– Czasem myślę jednak, że to, co mnie spotkało, było karą za moje dotychczasowe hulaszczę życie. Dlaczego więc ja przeżyłem, a inni zginęli? Któż to może wiedzieć? Nigdy nie wyróżniałem się szczególną religijnością i nie znam wyroków boskich – rzekł.

Wyprostowawszy się, oparł ręce na ziemi. Opowiadał wszak już od dłuższego czasu i poczuł się nieco obolały od ciągłego siedzenia na twardym gruncie. Potem podniósł głowę, kierując wzrok na Khajiitów, i trochę mniej poważny dodał:

– Dwie myśli wszelako mnie pocieszają. Pierwsza jest taka, że kapitan pewnie wrócił w rodzinne strony, czyli do Puszczy Valen. Uwielbiał hazard, a jego umiejętności gry w karty pozostawiały wiele do życzenia. W niejednej tawernie narażał się szemranym typom, gdy ci odkrywali, że próbował nieudolnie kantować. Dwa asy pik nie przejdą w żadnej grze, jeśli korzysta się z jednej talii. Znając go, przegrał większość, jeśli nie wszystko, przy pierwszej lepszej okazji. Założę się, że klepie teraz biedę i prowadzi usługi żeglugi transportowej lub coś w ten deseń.

– A jaka jest druga radosna myśl? – zadał pytanie ork, słusznie orientując się, że Breton o czymś zapomniał.

– Druga jest taka, że zaraz zjem ciepły posiłek, ale tylko pod warunkiem, że wywar jeszcze się nie wygotował.

Skromny obiad składał się z dziwnej w smaku zupy, zapewne wywodzącej się z Elsweyr, skąd przybyli Khajiici. Ork ze zdumieniem odnotował, że potrawa była jednocześnie ostra, przyprawiona dobrze znanymi na kontynencie ziołami, takimi jak suszone elfie ucho, jak też nieco słodka. Koty postanowiły dodać do dania swój ulubiony przysmak z krainy piasku – księżycowy cukier. Breton wyjaśnił, że handel tą substancją jest w Cyrodiil oraz większej części Tamriel nielegalny, gdyż wykorzystuje się ją do produkcji jakiegoś narkotyku. Tak czy inaczej, zważywszy na fakt, że wszystkim w karawanie kiszki marsza grały, pochłonęli prędko posiłek, nie zwracając szczególnie uwagi na to, co w nim pływa. Kawałki mięsa w stawie, zgodnie z przewidywaniami, trochę się rozgotowały, za co Ra'zhinda uprzejmie przeproszała, jednak nikt nie wysuwał pretensji, ciesząc się, że w ogóle mają czym zapełnić żołądki. Breton, od lat stołujący się w drugorzędnych mordowniach, wydawał się wniebowzięty, co można było poznać po wydawanych przezeń odgłosach mlaskania i siorbania. Po spożytym posiłku Ma'dran zarządził kilkanaście minut przerwy, po których nastąpić miała dalsza wędrówka. Były pirat wykorzystał ten czas na wygodne leżenie na plecach przy ognisku, dłubanie w zębach oraz lekturę poradnika na temat skutecznego posługiwania się buławą. Khajiici trzymali się w swojej grupie i o czymś dyskutowali, toteż ork, nie znajdując lepszego zajęcia, oddalił się od koczowników, a zatrzymawszy się na skraju urwiska, podziwiał widok rozpościerający się na góry Jerall.

Ogrom masywu, ukazujący się daleko przed nim, rodził uczucia pewnej bojaźni i szacunku wobec nieokiełznanej natury. Skalista grań, pokryta w najwyższych miejscach warstwami białego puchu, wznosiła się ponad otaczający ją krajobraz; sięgając obłoków, wydawała się spoglądać z wyższością na sosny zebrane wokół niej niczym poddani korzający się przy podnóżku króla, przybywający oddać pokłon surowemu i nieprzejednanemu monarsze. Ponad ostrymi krawędziami stykających się zboczy górowały gargantuiczne szczyty o kształcie buzdyganów, którymi srogi suweren bezwzględnie siecze wrogów, wyręczając straż przyboczną w tej okrutnej czynności. Obuch okrywały pojedyncze skupiska porostów, będące plamami zakrzepłej krwi buntowników ośmielających się sprzeciwić brutalnemu władcy, który spoczywał na zdobionym gładzi kamiennym tronie i od tysiącleci skazywał na śmierć bezmyślnych wędrowców przemierzających tę nieujarzmioną krainę. Gwałtowny, gwizdzący oddech nieba przypominał drwiący śmiech z Otchłani, czekającej na nowe dusze, wygłodniałej snu wiecznego podróżników. Oto przeraźliwie odludne, a jednocześnie pełne niewidzialnych sił góry Jerall.

Wtem promień słońca wychynął zza ciężkich chmur i oświetlił zakrytą dotąd woalem mroku Błądą Przełęcz, uwidaczniającą się poza potwornymi grzbietami, które w jednym miejscu obniżały się

i nie sprawiały już wrażenia przytłaczających swym bezmiarem. Pomyślał, że porośnięte zielonymi i bujnymi buczynami doliny z pewnością wypełniał świergot ptaków i spokojne uderzenia skrzydeł motyli przysiadających na przewalonych drzewach, co kontrastowało z ciszą panującą na turni. Ork nie mógł tego dobrze widzieć z tej odległości, ale wyobrażał sobie, że tam daleko w dole żołnierze cesarscy, strzegący granicy, próżnowali, przesiadując na idyllicznej polanie, na której wyrastały gałązki ostu, zaś śnieżna bawełna zwracała kwiaty ku niebu. Wątpliwe, aby pełniona służba polegała na czymś więcej niż na pobieraniu należnych opłat i doglądaniu kielkujących korzeni nirnu, spijających każdą kroplę deszczu i porannej rosy. Możliwe, że z rzadka pojawiał się jakiś zabłąkany nordycki przechodzień, gotowy przekroczyć obrzeża Skyrim. Stojąc u podnóża byłego cesarskiego fortu, popadającego w ruinę od zamierzchłych czasów pierwszej ery, Nord nie mógłby nie podziwiać kunsztu wojennego Akavirów, którzy odbili położony w przełęczy bastion, by następnie porzucić go wraz z końcem wojny. Teraz, służąc ponownie swym starym panom już nie jako forteca, lecz miejsce inspekcji osób udających się do Cyrodiil, przywodził na myśl bramę do Sovngardu – krainę wiecznej szczęśliwości nordyckich bohaterów, uczujących tam po wsze czasy po odejściu do Aetheriusa.

– Czy naprawdę musimy iść przez góry Jerall? – zapytał ork samego siebie, wodząc wzrokiem po kamiennych szczytach. – Co takiego dźwigamy na plecach, że nasze ciała wystawiamy na pożarcie władcom Otchłani? Czy nie lepiej byłoby przepawić się przez tamten wąski przesmyk, licząc na to, że nie zauważą nas markierujący wojskowi z Legionu?

– Nie żywiłbym takiej nadziei – przemówił raptownie ktoś z tyłu. – Chyba naprawdę obawiasz się naszej małej wycieczki, skoro wysławiasz się, gdy nikogo nie ma w pobliżu, a powinieneś wiedzieć, że przysłuchuję się twoim monologom przynajmniej od minuty.

Ork odwrócił się i spostrzegł Bretona opartego o bryłę skalną, który zawadiacko trzymał ręce w kieszeniach poplamionego stroju, a ugiąwszy nogę w kolanie, uśmiechał się od ucha do ucha, najwidoczniej całkiem zapominając o przygnębiającym nastroju, spowodowanym przez nakreśloną wcześniej opowiastkę. Breton, widząc nietęgą minę zaskoczonego przyjaciela, wyprężył się jak struna, aczkolwiek dobry humor go nie opuścił, i dodał:

– Heca na czternaście fajerek. Jeśli gadasz do siebie, powinieneś udać się do uzdrowiciela, ale nim to nastąpi, potrzebne będą twoje barki do tachania zapasów. – Breton odszedł na kilka kroków, jednak spostrzegając orka tkwiącego nadal w tym samym miejscu, przynaglił go: – Nie dąsaj się, tylko chodź. Przerwa skończona, ruszamy dalej.

– Dobrze – odrzekł sztywno ork i po raz wtóry skierował wzrok na wyniosłość terenu w oddali.

Postrzegął to jako absurdalne, ale w głębi duszy czuł, że albo w samych górach, albo zaraz za szczytami czyha zło, i że będzie musiał się z nim zmierzyć.

Dalsza część podróży, na którą niefrasobliwie przystał uprzedniego dnia, przebiegała nie lepiej niż przed odpoczynkiem. Ma'dran, choć wydawało się to niewykonalne, narzucił jeszcze szybsze tempo, aby dotrzeć do Skyrim przed zmrokiem, natomiast ciężar wora – i to już ork antycypował – nie zmniejszył się ani odrobinę. Najgorsze było jednak to, że zimna głusza zmieniła się wkrótce w lodowatą, a pojedyncze drzewa całkiem schowały się przed wędrowcami, pozostając w niższych partiach masywu. W międzyczasie Breton skwapliwie objaśnił, dlaczego przeprawa w okolicy przełęczy stanowiłaby nie mniej chybiony pomysł. Oznajmił, że akavirską cytadelę w przesmyku zamieszkują nie tylko żołnierze, ale też inne stwory, których populacja z nieznanых mu przyczyn gwałtownie wzrosła w ostatnim czasie. Siedząc kiedyś nad kuflem miodu, słyszał od oberżysty plotkę, jakoby Legion utracił nagle kontakt z wojskowymi w tamtym rejonie. Wysłano ekspedycję, by zbadać tę sprawę, zaś na miejscu odkryto zwłoki poległych z cesarskiego oddziału – rozszarpane przez stado ogrów, czyli wielkich, durnowatych maszkar o potężnych mięśniach i nieproporcjonalnie małych czaszkach, używanych tylko do rozwiązywania następującego problemu: zadać najpierw cios kolosalną prawą czy równie dużą lewą pięścią? Powiada się, że zabici wojacy zasilili szeregi nieumarłych Akavirów, by ramię w ramię z nimi oczekiwać na rozkazy od posłańca, który nigdy nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Oczywiście, istnieje też teoria mówiąca o tym, że historia ta jest wyssana z palca. Khajiitowie zdawali się w nią nie wierzyć i zapewniali, że żołdacy na granicy mają się dobrze, podobnie jak ich pełne złota sakiewki – wypełnione zagrabionymi septimami.

Wówczas w okamgnieniu rozszalała się śnieżycy, co poważnie przyhamowało grupę przemieszczającą się teraz ociężale i stawiającą nogę za nogą w głębokim puchu. Jeden z kotów o groźnym wyrazie pyska upstrzonym leciwymi bliznami, nie zabierający dotychczas głosu przy Bretonie i orku, zachnął się:

– Wstrętne płatki białego czegoś spadają z nieba. Khajiit widzi to pierwszy raz, odkąd jego matka się okociła.

– Co też Ma'jhad plecie? – ripostowała Ra'zhinda, wyciągając ręce przed siebie z otwartymi dłońmi skierowanymi ku górze i próbując przypatrzeć się śniegowi, zanim ten rozpuścił się na jej ciepłej, włochatej łapie. – W Brumie, gdy wymaszerowaliśmy w góry, leżało tego sporo.

– Ra'zhinda nieuważnie słucha Ma'jhada. – Kręcił głową. – Khajiit powiedział, że wcześniej nie spotkał się z zamrznietą wodą, która opada z firmamentu, a nie ze śniegiem spoczywającym na ulicach.

– Toż to jedno i to samo! – Zachichotała, po czym puściła oko w kierunku orka. – Gdy krupy spadnie z obłoków dostatecznie dużo, ta zbiera się w zagłębieniach i tworzy zimną powłokę pod naszymi stopami.

– Hm... – Ma'jhad zmarszczył czoło. – Khajiit za dużo myśli. I woli ciepłe piaski pustyni – odpowiedział, by następnie strzepać z ubrania to, co zdążyło naprószyć.

Ork, widząc gwałtowne załamanie pogody, zaczął rozważać rzucenie ładunku na ziemię, odwrócenie się na pięcie i powrót do Prowincji Cesarskiej. Od pewnego czasu ta przygoda zdawała się potrzebna jak umarłemu kadzidło, natomiast widok monumentalnych gór Jerall tylko utwierdził go w tym przekonaniu. Szósty zmysł stale podpowiadał mu, że pakuje się w poważne tarapaty. Uznał jednak, że było już za późno, aby zawrócić, zaś obietnice trzystu sztuk złota wynagrodzenia za samą przeprawę i udziału w zyskach ze sprzedaży stanowiły przekonujące oraz namacalne argumenty, a przynajmniej bardziej klarowne niż mglista prekognicja. W zasadzie, gdy rozejrzył się dookoła, trudno było mu nawet stwierdzić, w którym kierunku powinien zmierzać, ażeby wrócić do Cyrodiil, gdyż widoczność nie przekraczała kilkudziesięciu łokci. Sądząc po tempie, w jakim aura się pogorszyła, zanosilo się na potężną zawieję, powodowaną przypuszczalnie tym, że znajdowali się w tym momencie na samym wierzchołku wzniesienia lub w jego pobliżu. Usilnie wpatrywał się w rozmyty horyzont, jednak nie znalazł nawet cienia świadczącego o tym, iż gdzieś mieści się punkt wyższy od tego, po którym aktualnie stąpali wędrowcy.

Nagle kątem oka spostrzegł ludzką sylwetkę w zawierusze po lewej stronie; mniej więcej czterdzieści kroków od niego, co i tak przekraczało dystans umożliwiający identyfikację postaci. Przez chwilę sondował wzrokiem jej ruchy i doszedł do wniosku, że doświadcza przywidzeń, ponieważ było nie do pomyślenia, ażeby w tak niedosiężnym terenie znajdował się, poza ich sześciuosobową grupą, ktoś jeszcze. Gdy obejmował indywiduum spojrzeniem, do oka dostał mu się płatek śniegu, toteż zatrzymał się i począł energicznie wycierać powiekę rękawem. Ciągłe łzawiąc, podniósł głowę i uzmysłowił sobie, że przybysz jest jak najbardziej realny, a w dodatku przybliżył się on do jednego z Khajiitów, który nie

odnotował obecności niespodziewanego gościa. Ork zdziwił się, widząc, że nieznajomy przemieszcza się w szybki, lecz niezgrabny sposób, podpierając ciężki tułów na wydłużonych ramionach. Wtenczas wiatr zmienił kierunek i dmąc w jego czułe nozdrza, przyniósł zapach nie przypominający woni człowieka, elfa, orka, Khajiita lub Argonianina. Zdecydował się krzyknąć, by ostrzec innych, aczkolwiek, zanim to zrobił, przybłęda wydała nienaturalny, gardłowy ryk i jako pierwsza zwróciła na siebie uwagę reszty tułaczy.

– Na Magnusa! Troll! – wrzasnął z tyłu Breton.

Khajiitowie i ork zaczęli w pośpiechu zdejmować z ramion nielekkie pakunki. Kreatura już wcześniej obrała sobie za cel najsmuklejszego kota i rzuciła się pędem w jego stronę.

– Uważaj! – zawył ork, szarpiąc się z mocowaniem.

Khajiit próbował się cofnąć, ale zaplątał się w skórzane pasy przytrzymujące bagaż. Rozjuszona bestia błyskawicznie znalazła się przy nim. Bezradny kot z przerażeniem wejrzał w troje oczu napastnika. Troll wyciągnął kończynę i odchylił się, by zadać cios. Wtedy ork poradził sobie z rzemieniami i zsunął ładunek z barków. Wydobył żelazny sztylet z pochwy, ruszając kompanowi na pomoc.

– Trzymaj się! Już biegnę! – zawołał donośnym głosem.

Było jednak za późno. Khajiit podjął próbę uchylenia się, lecz potwór mocno uderzył swą zdobycz. Mieszkaniec Elsweyr został ciśnięty w tył i pociągnął za sobą niesiony toból. Siła razu odwróciła go twarzą do ziemi, a jego karmazynowa krew zrosiła obficie lód dokoła. Zarył nosem w glebę i bezwładnie sunął dalej po śliskiej nawierzchni w kierunku przepaści.

Ork, uwolniony od ciężaru, stawał tymczasem z wiatrem w zawody i w ułamku sekundy znalazł się przy trollu o mlecznobiałym futrze popstrzonym posoką nieprzytomnego kota. Dzierżył w dłoni broń o wątpliwej użyteczności w obliczu przeciwnika, który dorównywał mu wzrostem, natomiast przerastał go pod względem objętości mięśni oraz nieustępliwości, niemniej jednak krew pulsowała orkowi w żyłach i ani przez chwilę nie analizował tej problematycznej sytuacji. Szarżował na rywala tak, jakby tamten przypominał pozbawiony rozumu worek treningowy, nigdy nie parujący ciosów. Pozostała część grupy również uporała się ze zdjęciem ładunków z pleców, choć w przypadku Khajiitów stało się tak być może po to, aby mogli szybciej uciekać, jednakże zamiast brać nogi za pas, trwali w bezruchu i obserwowali natarcie orka, nie mając pojęcia, co należy czynić. On natomiast ścisnął krzepko rękojęć kordzika i – nie bacząc na nikogo – z werwą zaatakował zwierza, dając upust swej dzikiej naturze, a jednocześnie usiłując zranić poczwarę i jeśli nie zabić ją, to przynajmniej zniechęcić cuchnące strasz-

dło, które w geście triumfu ryczało ochryple wniebogłosy nad powalonym Khajiitem, wznosząc ku niebu kończyny długie jak niekończący się koszmar, powracający w bezgwiezdne noce w jednakiej formie, nie pozwalający zmrużyć oczu.

Ork dźgnął trolla, wbijając mu broń w szyję. Stwór zawył przeraźliwie, lecz jego gęste futro i tak zatrzymało większą część ostrza. Udało się osiągnąć chociaż tyle, że paskuda oddaliła się na odległość kilku kroków. Wiadomo było jednak, że to nie koniec walki. Wygłodniałe monstrum nie zamierzało tak łatwo zrezygnować z upatrzonego posiłku. W tym samym czasie ścięty z nóg kocur odzyskał świadomość i otumaniony dokładał starań, aby wstać.

– Patrz za siebie! – ostrzegał Breton. – Wpadniesz w rozpadlinę!

Niestety, ten albo nie dosłyszał wołania, albo go nie zrozumiał. Gdy tylko się wyprostował, ciągle przytwierdzony do jego ciała wór pociągnął go w tył. Stracił równowagę na firnie i runął do urwiska.

– Och, nie! Spadł! – zatrwożyła się Ra'zhinda. – Zróbmy coś! Nie sterczmy tak, bo skończymy jak i on! – zarządziła.

– Ogień! Kto zna zaklęcia ogniowe, niech siecze nimi wroga! – rozkazał wnet Breton. – Trolle są wrażliwe na wysoką temperaturę!

Ork nawet nie dojrzał tragedii, która rozegrała się obok. Zajęty bojem z nieboskim stworzeniem szykował się na jego kontratak. Warcząca istota faktycznie wycofała się tylko na moment. Orientując się, że nie jest mocno ranna, ruszyła do natarcia. Oponent potwora był już przygotowany. Ork odskoczył w bok, robiąc przewrót, gdy ów machnął szponiastą łapą. Znalazł się za grzbietem trolla i zwinnie powstając, zdzielił go ponownie poniżej głowy. Ten raz również nie wyrzucił maskarce większej krzywdy, ale miała ona już dwie kłute rany blisko siebie. Troll stanął przodem do dzielnego wojownika i znów gruchnął pięścią, wybałuszając ślepią. Zdołał jedynie zaczepić orka, jakkolwiek na tyle mocno, by wytrącić mu sztylet z ręki.

Spojrzenia walczących na szczycie góry na chwilę się spotkały. Z jednej strony stał nieokrzesany dziwotwór, którego bogowie powołali do życia, by siał postrach w tym malowniczym, acz zdradliwym zakątku Tamriel. Zamieszkując tak mroźną okolicę, nie mógł liczyć na posilanie się roślinami, zaś dzika zwierzyna także przytrafiła się tu incydentalnie. Nie ma zatem nic dziwnego w tym, że czując zapach świeżego mięsa, postanowił wyłonić się z nory niczym demon z czeluści i kładąc na szali własne życie, walczyć o cenny pokarm zapewniający przetrwanie. Naprzeciw niego znalazł się przedstawiciel hardego ludu z Orsinium, którego oschła aparycja kojarzyła się z prymitywnym barbarzyńcą gotowym pożerać

ludzi. Jak każdy ork, okryty był twardą, ciemnozieloną skórą z wyraźnie odznaczającymi się żyłami, a obraz półdzikiego troglodyty dopełniały dwa dolne kły odstające od obmierzłej facjaty, pałającej teraz nienawiścią. Każdy, kto znał lepiej Orsimera, wiedział, że wizerunek taki mijał się z prawdą, ponieważ wewnątrz tej ohydnej skorupy żyła prosta, choć cywilizowana istota, a wpadłszy w amok, przeistaczała się w krwiożerczego siepacza. Nie miał nad tymi emocjami większej kontroli, gdyż był to element dziedzictwa przodków, z którym rodził się każdy jego pobratymiec. Legendy o szale berserkerskim tych istot – bezkompromisowym, nieobłaskawionym stanie umysłu, w którym zyskiwali niemal nadprzyrodzoną tężyznę – rodziły przestraszyć w całym Tamriel, lecz jednocześnie umacniały wśród ludu opinię, że orkowie zawsze cechowali się wrogością i nieobliczalnością w swej agresji.

Archaiczny oręż Orsimera wpadł tymczasem w śnieg i zniknął mu z pola widzenia. Stał przed trudnym wyborem: odszukać go, tracąc cenny czas i odsłaniając się na atak, czy targnąć się na krępego przeciwnika, mając do dyspozycji jako broń jedynie własne cielsko? Buzująca w nim uprzednio adrenalina jakby odpłynęła, gdy pojął powagę swego położenia i zdał sobie sprawę, że obydwie ewentualności prowadzą do rychłego zgonu. Nie mając nic do stracenia, znowuż natarł na nieoswojonego adwersarza, wzięwszy w rachubę sposobność, że tamten wykrwawi się w boju. Dokładnie w owej chwili w tył trolla uderzył potężny pocisk, który eksplodował, praskając bestię o zmarznięty grunt. Ork zakolebał się pod wpływem fali uderzeniowej, zasłoniwszy się przed rozszalałymi płomieniami. Korpus bestii jeszcze przez chwilę się palił, wysysając z niej resztki życia, aż wreszcie skończyła.

– Wybacz, że tyle to trwało. – Ma'dran zbliżył się do orka. – Niełatwo odnaleźć w owiniętym ekwipunku zwój z zaklęciem.

– Radziłeś sobie wyśmienie – pochwalił go Breton. – Niestety, jeden z Khajiitów poleciał w dół. Niech Arkay świeci nad jego duszą.

– Ach, nie był do końca członkiem karawany. Wynajęliśmy go tak samo jak was – bąknął kocur, by następnie kucnąć nad truchłem istoty wywołującej w nich taki lęk. – To niewielka strata. Bardziej żałuję ładunku, który spadł razem z nim. No, ale zwerbowanie orka... To dopiero strzał w dziesiątkę. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie wiem, czy mam podziękować, czy machnąć na was ręką. Równie dobrze sam mogłem być na miejscu tego kota – odparł zdyszany Orsimer, rozglądając się za upuszczonym sztyltem.

– Obydwaj zasługujecie na uznanie – stwierdziła Ra'zhinda. – Breton wiedział, jakiej magii użyć, natomiast ork samodzielnie niemalże odrąbał tej pokrace głowę, a przynajmniej odwrócił jej uwagę. Khajiitka jest wam niezmiernie wdzięczna za ocalenie życia.

– Ma'dran też jest zobowiązany. Za martwego zwierza – skonstatował przywódca wyprawy. – Łój trolla dobrze się sprzeda. Niech twardoskóry nie szuka broni. Khajiit kupi mu w podzięce większy nożyk do obierania jabłek, jeśli ork doprowadzi nas w jednym kawałku do Skyrim.

Po ponownym założeniu tobołów na plecy podróżnicy ostrożnie ruszyli naprzód, rozglądając się czujnie wokół siebie. Nie napotkawszy żadnych zwierząt ani innych utrudnień, kierowali się stromym zboczem, schodząc coraz niżej aż do krainy, gdzie siarczysty mróz i kamienne stoki ustąpiły miejsca żółtobrazowym kępom trawy oraz brzozom jaśniejącym w blasku zachodzącego słońca. Wszyscy byli wyczerpani, ale nad wyraz uradowani, że znaleźli się w Skyrim. Ork obejrzał się na góry, które odebrały życie jednemu z podróżników i nieomal doprowadziły do fiaska całej wyprawy. Razem z innymi cieszył się, że zostawił ośnieżone szczyty za sobą. Z dołu, o dziwo, nie wyglądały już tak groźnie.